



*Wichrowe
Wzgórze*

EMILY JANE BRONTË

Wichrowe
Wzgorza

EMILY JANE BRONTË

Wichrowe Wzgórze

Przekład: Paweł Bulski



Tytuł oryginału: ***Wuthering Heights***

Przekład: **Paweł Bulski**

Redakcja: **Anna Willman**

Korekta: **Zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: **Dreamstime.com | @Konradba**

© Copyright for the Polish translation by Paweł Bulski under exclusive license to
Wydawnictwo SBM

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022
Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8348-000-8

Spis treści

Rozdział I.....	7
Rozdział II	13
Rozdział III.....	24
Rozdział IV	39
Rozdział V	47
Rozdział VI.....	52
Rozdział VII	60
Rozdział VIII.....	72
Rozdział IX.....	83
Rozdział X	101
Rozdział XI.....	120
Rozdział XII	132
Rozdział XIII	146
Rozdział XIV	159
Rozdział XV.....	169
Rozdział XVI	179
Rozdział XVII.....	185
Rozdział XVIII	205
Rozdział XIX	216

Rozdział XX.....	221
Rozdział XXI	228
Rozdział XXII.....	247
Rozdział XXIII	254
Rozdział XXIV	263
Rozdział XXV	274
Rozdział XXVI	279
Rozdział XXVII.....	284
Rozdział XXVIII	298
Rozdział XXIX	306
Rozdział XXX.....	313
Rozdział XXXI	320
Rozdział XXXII.....	327
Rozdział XXXIII	340
Rozdział XXXIV.....	350

Rozdział I

Rok 1801

Wróciłem właśnie z odwiedzin u mego gospodarza, jedyne go sąsiada, z jakim będę miał tu do czynienia. Cóż to za piękna kraina! Nie sędzę, bym gdziekolwiek indziej w Anglii znalazł jakie strony bardziej oddalone od gwaru życia towarzyskiego. Istny to raj dla mizantropa, pan Heathcliff zaś i ja tworzymy idealny tandem, by wspólnie dzielić to pustkowicie. Jakież to za kapitalny jegość! Nie podejrzewał nawet, jak bardzo przypadł mi do gustu już w chwili, gdy na mój widok zmrużył podejrzliwie czarne oczy i zdecydowanym, znamionującym chytrą gestem, wsunął głębiej palce w kieszonkę kamizelki, gdy się przedstawiłem.

— Pan Heathcliff? — spytałem. W odpowiedzi skinął tylko głową.

— Nazywam się Lockwood i jestem waszym nowym dzierżawcą, sir. Uznałem za stosowne natychmiast po przyjeździe złożyć panu wizytę z nadzieją, iż nie naraziłem pana na dyskomfort moim uporczywym naleganiem, by wynajął mi pan posiadłość Thrushcross. Ponoć jeszcze wczoraj wahał się pan, czy...

— Jestem posiadaczem tego majątku, sir — przerwał mi, wzdrygnąwszy się nagle. — I, jeśli tylko mogę temu zapobiec, nikomu nie przyzwalam, by przysparzał mi kłopotów. Wchodzi pan!

Zaproszenie to rzucił przez zaciśnięte zęby, tonem znaczącym raczej „Idź w diabły!”, brama zaś, o którą się opierał, pozostała zamknięta. Okoliczności skłoniły mnie jednak do przyjęcia zaprosin, poczułem bowiem zainteresowanie człowiekiem, który z jeszcze większą niż ja rezerwą podchodził do świata.

Ujrawszy, jak pierś mego wierzchowca napiera lekko na bramę, wyciągnął dłoń, by odpiąć łańcuch, po czym z ponurą miną powiódł mnie na dziedziniec, wołając:

— Josephie, zabierz konia pana Lockwooda i przynieś wino. „Mamy tu, przebóg, dom pełen służby”, sugerowały wydane polecenia. „Nie dziwota, że między irysami pleni się trawa, a żywopłotem zajmują się krowy”.

Joseph okazał się człowiekiem w podeszłym wieku, starcem wręcz, krępkim jednak i żyłastym.

— Boże, dopomóż! — wymamrotał do siebie z irytacją i jawnym niezadowolaniem, odbierając ode mnie konia i spoglądając z tak kwaśną miną, iż przepełniony troską uznałem, że wzywa nadprzyrodzone moce, by strawić obiad, a pobożna eksklamacja w żaden sposób nie dotyczy mego niezapowiedzianego najścia.

W nazwie domostwa pana Heathcliffa, Wuthering Heights, szczególną rolę odgrywa używany lokalnie przymiotnik „wuthering” (wietrzny bądź wichrowy), doskonale oddający naturę żywiołu, na jaki jest ono wystawione w burzliwą pogodę. Zaiste, wzgórza te nie narzekają nigdy na brak hulającego tu swobodnie, lodowatego północnego wiatru; o sile jego naporu świadczą nieliczne, mocno pochylone, powykrzywiane jodły rosnące przy domu oraz liche cierniste krzewy, wyciągające gałęzie w jednym kierunku gestem żebrzącym o słońce. Na szczęście przewidujący architekt wznosił solidny dom o wąskich, głęboko osadzonych oknach i potężnych, wystających poza obrys budynku kamiennych narożnikach broniących go przed żywiołem.

Zanim przestąpiłem próg, przystanąłem na moment, by przyjrzeć się groteskowym płaskorzeźbom zdobiącym obficie fronton i główne wejście. Na portyku pełnym kruszejących gryfów i bezwstydnie obnażonych chłopców, zauważyłem datę „Rok 1500” oraz nazwisko „Hareton Earnshaw”. Poprosiłbym gburowatego gospodarza o jakiś komentarz i krótką historię jego domu, lecz swoim zachowaniem w drzwiach jasno dał mi do zrozumienia, że oczekuje ode mnie albo natychmiastowego wejścia do środka, albo rezygnacji z odwiedzin, ja zaś nie miałem ochoty nadwyreżać jego cierpliwości przed dokładnym obejrzeniem wnętrza.

Przekroczyłem próg i od razu znalazłem się w pokoju dziennym, nieoddzielonym w żaden sposób od wejścia korytarzem czy przedpokojem, zwanym w tych stronach po prostu „główną izbą”. Składa się na nią zazwyczaj kuchnia i salon, ale z tego, co zdążyłem zauważyć, w Wichrowych Wzgórzach kuchnia znajdowała się w głębi domostwa, o czym świadczył dobiegający stamtąd gwar głosów i pobrzękiwanie kuchennych sprzętów. Ogromne palenisko nie nosiło najmniejszych śladów smażenia, gotowania czy pieczenia, nie dostrzegłem też na ścianach połyskujących miedzią rondli czy blaszanych durszlaków. Światło i żar z kominka odbijały za to wspaniale piętrzące się aż po sufit cynowe naczynia słusznych rozmiarów, ustawione rzędami na szerokim dębowym kredensie w drugim końcu izby. Wśród nich pyszniły się tu i ówdzie srebrne dzbany i kufle. Naga powała, niechroniona przed wzrokiem żadną tapiserią, osłonięta była tylko w jednym miejscu podwieszoną drewnianą ramą, na której znalazły miejsce owsiane ciastka, szynki, udźce baranie i połcie wołowiny. Nad kominkiem wisiały groźnie wyglądające stare strzelby i para sporych pistoletów; dodatkową ozdobę stanowiły ustawione na gzymsie trzy metalowe puszkwi w jaskrawych kolorach. Na posadzce z białego, gładkiego kamienia stały proste, pociągnięte zieloną farbą krzesła o wysokich oparciach; w pomroce cienia czało się jeszcze kilka czarnych, masywnych siedzisk. Pod łukowatym prześwitem kredensu spoczywała duża, ciemnobrązowa pointerka otoczona gromadką piszczących szczeniąt; psy kręciły się zresztą po całej izbie.

Takie mieszkanie i umeblowanie nie dziwiłyby u prostego farmera o zaciętym obliczu i krzepkich nogach, odzianych w getry i bryczesy do kolan. Takich jegomościów, rozpartych w fotelu przed okrągłym stołem, na którym pieni się kufel piwa, spotkać można w tej okolicy wszędzie w promieniu wielu mil — o ile zajrzy się do nich o odpowiedniej porze po kolacji. Pan Heathcliff jednakże wyraźnie nie przystawał do tego domostwa i trybu życia. Śniada karnacja upodabniała go do Cygana, a ubiór i maniery — do dżentelmena, a już na pewno do przeciętnego przedstawiciela tutejszego ziemiaństwa. Owszem, zdawał się nie przywiązywać przesadnej wagi do swego wyglądu, lecz bynajmniej nie szkodziło to ogólnemu wrażeniu, jakie robiła jego przyjemna

dla oka, wyprostowana i posępna postać. W oczach niektórych uchodzić mógłby za zbyt wyniosłego jak na swoje pochodzenie; w moich jednak, patrzących na niego z większym zrozumieniem i współczuciem, cechy takowej nie posiadał. Instynkt podpowiadał mi, że jego powściągliwość wynika raczej z awersji do wszelkich przejawów afiszowania się uczuciami, zwłaszcza do przejawów wzajemnej bliskości. Był z tych, co to równie mocno kochają i nienawidzą — ale robią to skrycie, starannie chroniąc się przed światem. Za niewybaczalną impertynencję uznalby wszelako, gdyby ktoś odwzajemnił te uczucia. Zbyttnio się jednak zagalopowałem, obdarzając go nader szczerze moimi własnymi cechami. Wszak pan Heathcliff może kierować się zgoła innymi przesłankami, nie podając od razu ręki nowo spotkanemu, niżli ja w takiej sytuacji. Wolę mniemać, że to moja natura oznacza się pewną osobliwością; w opinii mej szanownej matki nie zostałem stworzony do domowego szczęścia. Istotnie, nie dalej niż ubiegłego lata dałem dowód, iż nie dla mnie rozkosze rodzinnego życia.

Oto przebywając nad morzem, gdzie korzystałem przez miesiąc z uroków letniej aury, los zetknął mnie z pewną nad wyraz fascynującą istotą. Postrzegałem ją jako istną boginię — dopóki mnie nie zauważała. Nigdy nie wyznałem jej miłości na głos, choć gdyby oczy mogły mówić, nawet największy głupiec odgadłby, że kocham ją na zabój. Pewnego dnia wreszcie zrozumiała i odwzajemniła się najśłodszym na świecie spojrzeniem. I cóż wtedy uczyniłem? Wyznaję ze wstydem, że ogarnięty nagłym chłodem, wycofałem się, kurcząc się i chowając niczym ślimak w głąb skorupy, oddalając się i obojętniejąc z każdą chwilą, aż wreszcie nieświadoma niczego biedaczka zwątpiła we własne zmysły. Skonfundowana i przekonana, że dała się zwieść pozorom, wymogła w końcu na matce wyjazd.

Owa osobliwa odmiana uczuć przysporzyła mi reputacji człowieka bez serca, lecz tylko ja wiem, jak bardzo na nią nie zasłużyłem.

Zasiedliśmy z gospodarzem po obu stronach kominka. Próbując wypełnić czymś niezręczne milczenie, postanowiłem pogłaskać sukę, która zostawiła na chwilę szczenięta i podkraśla się, szczerząc zęby niczym wilczyca, prosto pod moje łydki. Pieszczota wydarła z jej gardzieli przeciągły, głuchy warkot.

— Lepiej zostaw pan psa w spokoju — warknął równie przyjaźnie pan Heathcliff, częstując psa kopniakiem. — Tutaj nikt jej nie rozpuszcza. Nie trzymam jej dla zabawy.

Po tym wyjaśnieniu, skierowawszy energiczne kroki w stronę bocznych drzwi, zawołał ponownie Josepha.

Z głębi piwniczki dało się słyszeć niewyraźne mamrotanie, nic nie świadczyło jednak o tym, że służący wybiera się na górę, wobec czego pan domu pofatygował się do niego, zostawiając mnie na pastwę zadziornej suki i pary groźnych, niepuszczających mnie z oka kudłatych psów pasterskich. Nie mając ochoty na kontakt z psimi zębami, siedziałem jak trusia; uznałem jednak, że zwierzęta nie zrozumieją niemych zaczepek, przeto zaserwowałem im całą serię min i grymasów, co wywołało taką furię suki, że wskoczyła mi z impetem na kolana. Zrzuciwszy ją, pośpiesznie próbowałem odgrodzić się od niej stołem. Okazało się, że wsadziłem tym kij w mrowisko, bo do wspólnego ataku ruszyła natychmiast cała szóstka czworonogich szatanów, dużych i małych, skupiających się ze szczególnym upodobaniem na moich piętach oraz połączonych płaszczach. Broniąc się jak mogłem przed większymi napastnikami za pomocą pogrzebacza, zawołałem donośnie, licząc na pomoc domowników.

Pan Heathcliff i jego służący wyłonili się z piwniczki z irytującą flegmą. Nie sądzę, by poruszali się choć o jotę szybciej niż zazwyczaj, mimo iż bawialnia huczała od obłąkańczego ujadania i jazgotu. Na szczęście z kuchni przybyła mi z odsieczą tęga matrona w fartuchu, z podwiniętymi rękawami, zaróżowionymi od ognia policzkami i patelnią dłoni. Wskoczyła w sam środek harmideru i za pomocą swego oręża oraz donośnego głosu jakimś cudem opanowała szalejący żywioł i po chwili pozostała sama na placu boju, dysząc ciężko niczym morze po przejściu sztormu. Dopiero wtedy do akcji wkroczył pan domu.

— Co tu się, do diabła, wyrabia? — spytał, obrzucając mnie spojrzeniem trudnym do zniesienia po takim przejawie braku gościnności.

— Do diabła, w istocie! — wymamrotałem. — Trzoda opętanych żądzą mordu wieprzy to przy pańskich bestiach łagodne baranki. Równie dobrze mógłby pan zostawić gościa na pastwę stada tygrysów!

— Nie tykają nikogo, kto trzyma ręce przy sobie — zauważył, stawiając przede mną butelkę wina na ustawionym ponownie stole. — Psy powinny być czujne. Szklaneczkę wina?

— Nie, dziękuję.

— Chyba pana nie pogryzły?

— Gdyby któryś się ośmielił, miałby mój sygnet odbity na pysku — odparowałem, a oblicze Heathcliffa rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Ależ daj pan spokój, Lockwood — powiedział. — Najwyraźniej jest pan wzburzony. Niechże się pan napije wina. Goście odwiedzają nas tu tak rzadko, że przyznam szczerze, zarówno ja, jak i moje psy, zapomnieliśmy już, jak ich podejmować. Pańskie zdrowie!

Skłoniłem się i odwzajemniłem toast, uznałem bowiem, że nie ma sensu dłużej się dąsać z powodu wybryku paru niesfornych kundli; nie miałem też ochoty wystawiać się na dalsze szyderstwa ze strony gospodarza, który najwyraźniej dobrze się bawił moim kosztem. Tymczasem w jego zachowaniu nastąpiła zmiana — górę wzięło chyba roztropne przekonanie, że obrażanie dobrego dzierżawcy jest wysoce nierozsądne. Gładko (przestał bowiem połykać końcówki) i w nieco mniej lakoniczny niż dotychczas sposób podjął temat, który w jego mniemaniu mógł mnie zainteresować, a mianowicie wad i zalet mego nowego miejsca zamieszkania. Okazał się tak błyskotliwym rozmówcą, że postanowiłem złożyć mu kolejną wizytę następnego dnia. Mimo iż gospodarz wyraźnie nie miał na to ochoty, zdecydowałem, że tak właśnie uczynię. Aż trudno uwierzyć, jak bardzo towarzyski okazuję się być w porównaniu z panem Heathcliffem.

Rozdział II

Popołudnie okazało się chłodne i wilgotne. Chciałem już zrezygnować z przedzierania się przez wrzosowiska i błota na Wichrowe Wzgórze i spędzić ten czas leniwie przy kominku w gabinecie. Z tym zamiarem udałem się po obiedzie (notabene serwowanym między dwunastą a pierwszą: stateczna gosposia, przypisana na stałe do prowadzenia domu, nie była w stanie zrozumieć mojej prośby, aby podawać posiłek o piątej) na górę, gdzie natknąłem się na uzbrojoną w szczotki i wiadro na węgiel służącą, klęczącą przed kominkiem. Dziewczyna przyduśiła ogień górą popiołu, zasypując nim skutecznie cały gabinet. Na ten widok odwróciłem się na pięcie, złapałem kapelusz i po czteromilowym spacerze dotarłem do furtki ogrodu Heathcliffa w chwili, gdy z nieba zaczęły sypać pierwsze płatki puszystego śniegu.

Ponury wierch skuty był czarnym lodem, a mroźne powietrze przenikało zębem do szpiku kości. Nie udało mi się zdjąć łańcucha, przeskoczyłem więc przez furtkę i pobiegłem brukowaną drogą obrosniętą po obu stronach pleniącymi się dziko krzakami agrestu. Dotarłem wreszcie do domu i zapukałem do drzwi. Dobijałem się długo, ale moje ponawiane wielokrotnie wysiłki wywołały jedynie ból kłykci i wycie psów.

— Przeklęci mieszkańcy tego domu! — wykrzyknąłem w duchu. — Zaslługujecie na wieczne wygnanie z ludzkiej społeczności za tą gburowatą niegościnnosć. Ja przynajmniej nie zamykam w dzień domu na cztery spusty. Nic to — tak czy owak, wchodzę!

Jak postanowiłem, tak zrobiłem — chwyciwszy zasuwę, szarpnąłem nią zdecydowanie. Z okienka stodoły wychynęła kwaśna jak ocet twarz Josepha.

— A wy tu czego? — zakrzyknął. — Pana ni ma, są w owczarni. Trza obejść stodołę, tam go znajdziecie, jak chcecie z nim gadać.

— Nie ma w środku nikogo, kto mógłby mi otworzyć? — zawołałem.

— Nikogusieńko, ino pani, a ta dyć nie otworzy, choćbyście robili raban do nocy.

— Ale dlaczego? Nie możecie mnie zapowiedzieć?

— Co to, to nie! Ani mi się śni — wymamrotała głowa, znikając w głębi stodoły.

Zaczęło gęsto sypać śniegiem. Chwyciłem zasuwę, by ponownie spróbować otworzyć drzwi, gdy nagle na dziedzińcu pokazał się jakiś młodzieniec bez wierzchniego okrycia, z zarzuconymi na ramię widłami. Zawołał, bym poszedł za nim; minąwszy pralnię i wybrukowane podwórze z szopą na węgiel, pompą i gołębnikiem, dotarliśmy do przestronnego, ciepłego i przytulnego pomieszczenia, w którym podjęto mnie poprzedniego dnia. Rozświećlała je rozkosznie poświata płomieni buchających z płonących w kominku węgla, torfu i drewna. Przy suto zastawionym do kolacji stole z radością zauważyłem panią domu, której obecności nigdy bym się tu nie spodziewał. Ukłoniłem się i czekałem na zaproszenie do stołu. Kobieta spojrzała na mnie, rozsiadła się wygodniej, lecz nie odezwała się ani słowem.

— Pogoda pod psem! — zauważyłem. — Obawiam się, pani Heathcliff, że wasze drzwi poniosły uszczerbek z winy opieszałości służby; musiałem mocno się natrudzić, by mnie usłyszano.

Nawet nie otworzyła ust. Odwzajemniała śmiało moje spojrzenie, wbijając we mnie chłodny, obojętny wzrok, z każdą chwilą wzmagając moje zakłopotanie i niepokój.

— Siadajcie — rzucił szorstko młodzieniec. — Pan zaraz przyjdzie.

Usiadłszy, odchrząknąłem i przywołałem groźną Juno, która tym razem łaskawie zaakceptowała moją obecność lekkim ruchem czubka ogona.

— Piękne zwierzę — podjąłem kolejną próbę konwersacji. — Czy zamierza pani rozstać się ze szczeniakami?

— Nie są moje — odparła miła gospodyni tonem tak oschłym, że sam pan Heathcliff by się go nie powstydział.

— Ach, w takim razie to są pani ulubieńcy, jak sędzę! — ciągnąłem niezrażony, wskazując na leżącą w pewnej odległości poduszkę z gromadą stworzeń, które wzięłem za koty.

— Osobliwy byłby to wybór! — zauważyła pogardliwie.

Okazało się, że pokazałem na stertę martwych królików. Znów odchrząknąłem i przysunąłem się do kominka, ponownie komentując fatalną aurę tego wieczora.

— Więc nie powinien pan wychodzić z domu — odparła, wstając i sięgając po dwie malowane puszki z kominka.

Do tej pory siedziała w półmroku, teraz jednak dokładnie ujrzałem jej postać i oblicze. Była smukłą istotą, która dopiero co przekroczyła próg dzielący dziewczę od kobiety, o cudnych kształtach i najpiękniejszej twarzy, jaką kiedykolwiek miałem przyjemność oglądać. Jej delikatne rysy, mlecznobiała cera, loki koloru lnu... choć nie, złota bardziej — zwisające swobodnie wokół łabędziej szyi, do tego oczy... Cóż, gdyby spoglądały choć trochę przyjaźniej, nie potrafiłbym im się oprzeć, na szczęście jednak dla mego wrażliwego serca biło z nich jedynie lekceważenie pomieszane z desperacją, wyjątkowo niepasujące do jej osoby. Puszki na kominku stały zbyt wysoko, by mogła ich dosięgnąć, wstałem więc, by jej pomóc. Zareagowała niczym skąpiec na widok intruza chętnego do pomocy w liczeniu złotych monet.

— Nie potrzebuję pańskiej pomocy — warknęła. — Poradzę sobie.

— Proszę o wybaczenie — odparłem pośpiesznie.

— Był pan zaproszony na herbatę? — spytała stanowczym tonem, wiążąc fartuch na schludnej, czarnej sukni i trzymając łyżeczkę z herbatą nad imbrykiem.

— Chętnie się napiję — odparłem.

— Ale czy był pan zaproszony? — powtórzyła.

— Nie — odpowiedziałem, ledwo kryjąc uśmiech. — Ma pani pełne prawo o to spytać.

Ze złością wrzuciła łyżkę pełną herbaty z powrotem do puszki i nadąsana wróciła na krzesło. Ze zmarszczonym czołem i wysuniętą do przodu dolną wargą wyglądała jak dziecko, które zaraz wybuchnie płaczem.

Tymczasem młodzieniec narzucił na siebie jakąś wyjątkowo obdartą kapotę i stanął wyprostowany przy kominku, zerkając na mnie z góry krzywym okiem, jakbym śmiertelnie go obraził. Zacząłem powątpiewać, czy mam do czynienia ze służącym: jego grubiańska powierzchowność i mowa zdradzały brak ogłady wyższych klas, widocznej u państwa Heathcliffów; gęste, ciemne loki miał potargane i nieprzycięte, policzki zarośnięte bokobrodami, upodabniającymi go do niedźwiedzia, ręce zaś spalone słońcem, niczym u zwykłego farmera. Zachowanie jego cechowała jednak swoboda granicząca z hardością, nie wykazywał też charakterystycznej dla służby gorliwości w obsłudze pani domu. Wobec braku jednoznacznych dowodów świadczących o jego statusie, zdecydowałem, że najlepiej będzie nie zważać na jego osobliwe zachowanie, a przybycie pana Heathcliffa po pięciu minutach wybawiło mnie, przynajmniej w pewnej mierze, z niewygodnego położenia.

— Oto jestem, sir, jak obiecałem! — zawołałem, przybierając pogodny wyraz twarzy. — Obawiam się, że przez najbliższe pół godziny zatrzyma mnie tu pogoda, o ile mogę liczyć na schronienie.

— Pół godziny? — rzekł, strzepując z okrycia płatki śniegu. — Co też pana skusiło, żeby wybrać się na wędrowkę w środku burzy śnieżnej? Nie przyszło panu do głowy, że może zabłądzić pan na bagnach? W takie wieczory niejeden miejscowy, dobrze znający okolicę, zgubił drogę na mokradłach, ja zaś nie widzę szans, by pogoda miała się szybko zmienić.

— Może zatem przydzieli mi pan przewodnika spośród swoich ludzi, a ja go przenocuję w majątku? Znajdzie pan kogoś takiego?

— Obawiam się, że nie.

— No cóż, w takim razie będę zmuszony zaufać własnej roztropności.

— Też mi coś!

— Zrobisz wreszcie tej herbaty? — spytał z naciskiem posiadacz obszarpanej kapoty, przenosząc złowrogie spojrzenie ze mnie na młodą damę.

— Dla niego też? — spytała, zwracając się do Heathcliffa.

— Po prostu zaparz ją wreszcie, dobrze? — rzucił ów w odpowiedzi z taką złością, że mną wstrząsnęło. Ton, którym wypowiedział te słowa, zdradzał prawdziwie podle usposobienie. Nie miałem już ochoty nazywać pana Heathcliffa kapitałnym jegomościem. Kiedy herbata była gotowa, zaprosił mnie do stołu słowami: „Proszę przysunąć sobie krzesło, sir”, po czym zasiedliśmy wszyscy — w tym młody wieśniak — do zastawionego stołu, przy którym zapadła wroga cisza.

Pomyślałem, że skoro z mojej winy zapanowała tu tak nieprzyjemna atmosfera, moim obowiązkiem jest ją poprawić. Niemożliwe przecież, aby codziennie jadali w tak ponurym nastroju, nie odzywając się do siebie, ani też, by gniewny grymas — choćby nie wiem jak bardzo nie byli w humorze — zawsze gościł na ich obliczach.

— Czy to nie dziwne — zacząłem w przerwie pomiędzy kolejnymi łykami herbaty — jak obyczaj potrafi ukształtować nasze gusta i idee? Wielu nie byłoby w stanie wyobrazić sobie szczęśliwego życia w takim oddaleniu od świata. Ośmielam się jednak twierdzić, panie Heathcliff, że żyjąc otoczony rodziną i z tą oto miłą damą, sprawującą pieczę nad ogniskiem domowym i pańskim sercem...

— Z miłą damą! — przerwał mi z diabelskim grymasem na twarzy. — A gdzież ona jest, ta miła dama?

— Pani Heathcliff, rzecz jasna. Pańska małżonka.

— Ach, rozumiem... Sądzi pan, że jej duch przybrał postać opiekuńczego anioła, który chroni Wichrowe Wzgórze, mimo iż opuściła już ten padół. Czy tak?

Zrozumiawszy katastrofalną pomyłkę, usiłowałem jakoś ją naprawić. Powinienem był dostrzec zbyt dużą różnicę wieku: nie mogli być małżeństwem. On miał około czterdziestki, a jest to wiek, w którym mężczyźni, będący u szczytu swoich możliwości umysłowych, rzadko kiedy łudzą się, że młode dziewczęta wychodzą za nich z miłości; tę pocieszającą iluzję zachowujemy sobie na schyłek żywota. Dziewczę nie wyglądało nawet na siedemnaście lat.

Wtedy mnie olśniło. Wszak jej mężem może być siedzący obok mnie błazen, siorbiący herbatę ze spodka i zajadający chleb brudnymi rękami; z całą pewnością mam do czynienia z synem Heathcliffa. Oto konsekwencje pogrzebania za życia — oddała się temu prostakowi przez zwykłą nieświadomość, że są na świecie lepsi od niego! Smutne to, muszę jednak uważać, by nie zaczęła żałować swego wyboru. Myśl ta mogłaby się wydawać przejawem zarozumialstwa, nie była nim jednak. Uznałem wygląd mego sąsiada za odstręczający, co do mnie zaś skądinąd wiedziałem, że mam dość atrakcyjną powierzchowność.

— Pani Heathcliff jest moją synową — wyjaśnił gospodarz, potwierdzając moje przypuszczenia. Mówiąc to, obrzucił ją osobliwym spojrzeniem. Jeśli mięśnie jego twarzy nie różnią się drastycznie od tych, jakimi posługuje się reszta ludzkości, by odślonić zakamarki duszy, odmalowała się na niej czysta nienawiść.

— Ależ oczywiście, teraz rozumiem: to pan usidliłeś tę dobrą wróżkę — zwróciłem się do mego sąsiada.

Młodziak zareagował jeszcze gorzej, niż poprzednio, spurpurowiał bowiem i zacisnął mocno pięść, jakby szykował się do ataku. Szybko się jednak opanował i dał upust swojej złości, obrzucając mnie jeno grubym przekleństwem, co przezornie zignorowałem.

— Nie ma pan coś szczęścia w swoich domysłach — zauważył Heathcliff. — Żaden z nas nie cieszy się przywilejem usidlenia pańskiej dobrej wróżki, gdyż jej małżonek nie żyje. Powiedziałem, że jest moją synową, musiała więc wyjść za mego syna.

— W takim razie ten młody człowiek to...

— Z całą pewnością nie mój syn.

Na obliczu Heathcliffa znów zagościł uśmiech świadczący o tym, że przypisanie mu ojcostwa takiego gbura byłoby już przesadą.

— Nazywam się Hareton Earnshaw — warknął młodzieniec — i radziłbym, żeby odnosił się pan do mnie z szacunkiem!

— W niczym nie okazałem panu jego braku — odparłem, śmiejąc się w duchu z powagi, z jaką się przedstawił.

Długo wlepiął we mnie wzrok; dłużej, niż miałbym na to ochotę. Z obawy przed pokusą trzepnięcia go w ucho lub roześmianiem mu się w nos, wolałem nie odwzajemniać jego spojrzenia. Poczułem jednak wyraźnie, że jestem w tym miłym, rodzinnym gronie piątym kołem u wozu. Ponura atmosfera wzięła górę nad wygodą i miłymi doznaniem, postanowiłem zatem, że poważnie się zastanowię, zanim zawitam w te gościnne progi po raz trzeci.

Kiedy skończyliśmy jeść w głuchej ciszy, podszedłem do okna, by wyjrzeć na dwór. Moim oczom ukazał się przykry widok: nadciągała wczesna, ciemna noc, niebo zaś i okoliczne wzgórza ginęły w tumanach unoszonego silnym wiatrem śniegu.

— Jak ja dotrę do domu bez przewodnika?! — wykrzyknąłem bezwiednie. — Drogi już z pewnością zasypane; zresztą, nawet gdyby były gładkie jak stół, nie widziałbym ich przed sobą.

— Hareton, zagnaj owce na ganek, bo śnieg je zasypie do rana. I dobrze zagroź go deską — rozkazał Heathcliff.

— I co mam teraz ze sobą począć? — ciągnąłem z rosnącą irytacją.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, rozejrzałem się po pokoju. Joseph wniósł właśnie wiadro owsianki dla psów, a nachylona nad ogniem pani Heathcliff pochłonięta była wrzucaniem w płomień zapalek, które strąciła z kominka, odstawiając puszkę z herbatą. Stary odstawił swój ciężar, obrzucił nas pełnym pretensji wzrokiem i wycharczał łamiącym się głosem:

— Patrzta to, jak se stoi i się wałkoni, choć wszyscy się wzięli do roboty! Ale szkoda gadać po próżnicy, boście nic nie warci. Nie naprostujecie wy swoich dróg, jeno pójdzieta prosto do diabła, jako wasza matka!

Przez chwilę pomyślałem, że ta przemowa została wygłoszona pod moim adresem i rozwścieczony tą zuchwałością, ruszyłem w stronę starego drania, by wykopać go za drzwi. Powstrzymała mnie wszelako odpowiedź, jakiej udzieliła mu pani Heathcliff.

— Oburzający stary hipokryta! Nie boisz się, że diabli cię porwą, kiedy wymawiasz imię złego? Ostrzegam, nie prowokuj mnie, bo poproszę je o tę

przysługę! Dosyć tego! Patrzcie, Josephie — ciągnęła, zdejmując wysoką, czarną księgę z półki — zademonstruję wam, jak dalece opanowałam już sztukę czarnoksięską. Wkrótce za jej pomocą oczyszczę ten dom. Brązowa krowa nie zdechła sama z siebie, a i wasz reumatyzm trudno uznać za przypadkowe zrzącenie losu!

— Bezbożnica! — gwałtownie westchnął starzec. — Niech Bóg nas broni ode złego!

— Nie, nikczemniku! To ty jesteś zatwardziałym w grzechu wyrzutkiem. Idź precz, albo naprawdę zrobię ci krzywdę! Zrobię sobie twoją podobiznę z wosku i gliny, i jak tylko przekroczysz granicę, jaką wyznaczę... Nie, nie powiem, co ci zrobię, sam zobaczysz! A kysz!

W pięknych oczach małej wiedźmy zagościło udawane groźne spojrzenie i Joseph, trzęsąc się z autentycznego przerażenia, wystrzelił z pokoju niczym z procy, modląc się i pokrzykując „bezbożnica!”. Jej zachowanie zdało mi się przejawem czarnego humoru, dlatego, kiedy zostaliśmy sami, postanowiłem zwrócić się do niej o pomoc.

— Pani Heathcliff — odezwałem się poważnym tonem — najmocniej przepraszam, że panią kłopotczę. Sądząc po pani obliczu wnoszę, że w głębi serca jest pani dobrą osobą. Daj mi proszę wskazówki, jak mam dotrzeć do domu, gdyż mam w tej materii tyle pojęcia, co pani, gdybym ją spytał o drogę do Londynu.

— Niech pan wróci tą samą drogą, jaką pan przyszedł — odparła, rozsiadając się na krześle, po czym przysunęła do siebie świecę i otwartą księgę. — To krótka rada, ale najlepsza, jakiej mogę panu udzielić.

— Nie będzie pani dręczyć sumienia, kiedy usłyszysz pani, że znaleziono mnie martwego na bagnach lub w jakiejś jamie pod śniegiem?

— A czemuż to miałyby mnie dręczyć? Przecież nie odprowadzę pana do domu. Nie wolno mi wychodzić poza mur ogrodu.

— Ależ, pani! Jakże mógłbym panią prosić, dla własnej wygody, o przekroczenie progu domu w taką noc? — wykrzyknąłem. — Proszę tylko o wskazanie drogi, nie towarzyszenie w niej; mogłaby też pani poprosić pana Heathcliffa o przydzielenie mi przewodnika.

— Niby kogo? W domu jest tylko on, Earnshaw, Zillah, Joseph i ja. Kogo by pan wolał?

— Nie ma na farmie żadnych parobków?

— Nie, mieszkamy tu tylko my.

— Wynika więc z tego, że będę musiał tu zostać.

— O tym niech już pan rozmawia ze swoim gospodarzem. To nie moja sprawa.

— Mam nadzieję, że to pana nauczy, żeby nie wybierać się zbyt pochopnie na spacer pośród tych wzgórz — krzyknął groźnie Heathcliff spod kuchennych drzwi. — A co do pańskiego pomysłu, żeby u mnie przenocować: nie prowadzę tu gospody. Jeśli chce pan zostać, będzie pan musiał dzielić posłanie z Haretonem lub Josephem.

— Mogę spać tutaj, na krześle — odparłem.

— Wykluczone. Obcy to obcy, nieważne, bogaty czy biedny. Nie pozwolę, żeby płatał mi się po domu, kiedy nie mam na niego baczenia! — rzekł ów nieokrzesany łotr.

Ta zniewaga przeważała szalę. Wyraziwszy głośno oburzenie, otarłem się o niego w drodze do wyjścia, wpadając w pośpiechu na Earnshawa. Na dziedzińcu było tak ciemno, że nie widziałem nawet furtki; wędrując w jej poszukiwaniu, usłyszałem próbkę ich manier, obowiązujących, kiedy są we własnym gronie. Z początku wyglądało na to, że młodzik mi sprzyja.

— Odprowadzę go do parku — powiedział.

— Do diabła tam, akurat! — wrzasnął jego pan, czy kimkolwiek był dla niego Heathcliff. — A kto niby się zajmie końmi, co?

— Ludzkie życie jest ważniejsze niż oporządzenie koni. Ktoś musi z nim iść — powiedziała cicho pani Heathcliff o wiele miłszym tonem, niż bym się spodziewał.

— Na pewno nie na twój rozkaz! — wtrącił się Hareton. — Jeśli taki on dla ciebie ważny, to lepiej siedź cicho.

— W takim razie mam nadzieję, że będzie cię straszyć jego duch, a pan Heathcliff nie znajdzie nowego najemcy i majątek popadnie w całkowitą ruinę — odparowała.

— O, proszę, już na nich rzuca urok! — wymamrotał Joseph, do którego właśnie się kierowałem. Siedział w pobliżu, dojąc krowy w świetle latarni. Chwyciłem ją bez wahania i krzyknąwszy, że odeślę ją z rana, pobiegłem w stronę najbliższej furtki.

— Panie, kradną latarnię! — zawołał starzec, podążając mym tropem. — Łamignat, Wadera! Bierzcie go!

Otworzył drzwi i dwa kudłate potwory skoczyły mi do gardła, zwalając mnie z nóg. Latarnia zgasła; czarę goryczy, przelewającą się już od wściekłości i upokorzenia, dopełnił głośny rechot Heathcliffa i Haretona. Na szczęście groźne stworzenia zamiast mnie pożreć, wołały się wybiegać, ziewając przy tym i machając ogonami. Nie pozwoliły mi jednak wstać, musiałem więc leżeć, aż ich złośliwym panom zechciało się je odwołać. Wówczas, trzęsąc się z wściekłości, bez kapelusza, kazałem szubrawcom, by mnie wypuścili, obrzucając ich przy tym chaotycznymi groźbami zemsty tak przepełnionymi jadem, że godne byłyby samego króla Leara.

Gwałtowne emocje sprawiły, że z nosa poszła mi obficie krew, tymczasem Heathcliff wciąż się śmiał, ja zaś rugałem go bez końca. Nie wiem, czym by się to skończyło, gdyby nie pojawienie się osoby nieco bardziej racjonalnej ode mnie i zdecydowanie miłszej niż mój gospodarz. Była to Zillah, korpulentna gosposia, która wyłoniła się z domu, by sprawdzić przyczynę tego harmideru. Musiała pomyśleć, że padłem ofiarą przemocy; nie odważywszy się zwrócić przeciwko swemu panu, skierowała arsenał swej wymowy na młodszego łotra.

— No pięknie, panie Earnshaw! — krzyknęła. — Ciekawam, co to pan jeszcze wymyśli? Będziemy teraz mordować gości na progu naszego domu? Widzę, że nic tu już po mnie. Tylko spójrzcie na tego kawalera! Biedak aż się dusi! No już, nie można tak. Niech pan wejdzie, zajmijmy się tym. Tylko niech się pan uspokoi.

Mówiąc to, wylała mi na kark dzban lodowatej wody, po czym zaciągnęła do kuchni. Pan Heathcliff poszedł za nami; chwilowe rozbawienie ustępowało szybko jego zwykłej posępności.

Poczułem się bardzo chory. Zawroty głowy i nadzwyczajna słabość zmusiły mnie do zaakceptowania gościny pod jego dachem. Heathcliff kazał Zillah podać mi szklaneczkę brandy, po czym oddalił się do drugiej izby. Gospośia poużalała się nad moim losem, a kiedy nieco doszedłem do siebie, posłuchała polecenia swego pana i skierowała mnie do łóżka.

Rozdział III

Prowadząc mnie po schodach na górę, kazała mi osłonić świecę i zachować absolutną ciszę, tłumacząc to niezrozumiałą fobią gospodarza na punkcie izby, w której miała mnie umieścić. Okazało się, że nikogo tam nie wpuszczano. Kiedy spytałem o powód, gosposia nie potrafiła udzielić odpowiedzi. Mieszkała w tym domu dopiero od kilku lat, a że działo się w nim więcej znacznie dziwniejszych rzeczy, nigdy się nad tym nie zastanawiała.

Byłem zbyt oszołomiony, by nad tym deliberować, zamknąłem więc drzwi i rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś posłania. Na całe umeblowanie składało się pojedyncze krzesło, bieliźniarka i ogromna dębowa skrzynia z wyciętymi na górze kwadratowymi otworami przypominającymi okna w powozie. Podeszedłem bliżej i zajrzałem do środka. Skrzynia okazała się być staromodnym, zabudowanym ze wszystkich stron łóżkiem, którego sprytna konstrukcja zapewniała każdemu członkowi rodziny prywatność. Całość tworzyła niewielką alkowę, obejmującą parapet okienny, który służył zarazem za stolik.

Rozsunąwszy drzwi, wszedłem do środka ze świecą i zasunąłem je z powrotem. Tu przynajmniej nic mi nie groziło ze strony Heathcliffa i jego domowników.

Ustawiwszy świecę na parapecie, dostrzegłem w rogu okiennej wnęki kilka pokrytych pleśnią książek. Na pomalowanej powierzchni parapetu widniało kilka wydrapanych napisów — było to imię pisane różnymi literami, wielkimi i małymi: czasami *Catherine Earnshaw*, czasem *Catherine Heathcliff*, czasem nawet *Catherine Linton*.

Otumaniony i całkowicie wyczerpany, oparłem czoło o szybę, śledząc litery układające się w ciąg Catherine Earnshaw— Heathcliff— Linton, aż zmęczone tym oczy zamknęły się na chwilę. Nie odpoczęły nawet pięciu minut, gdyż pod powiekami wyłoniły się z mroku białe, świetliste znaki, poruszające się niczym widma. Powietrze wokół mnie wypełniło się wszechobecnym imieniem Catherine. Kiedy uniosłem głowę, by uwolnić się od tej natrętnej obecności, odkryłem, że knot świecy dotyka jednego z wolumenów, napełniając pomieszczenie odorem przypalanej cielejącej skóry.

Zdmuchnąłem płomień i drżąc z zimna i mdłości, usiadłem, by otworzyć lekko nadpalony tom na kolanie. Było to pachnące stęchlizną Pismo Święte, wydrukowane wąską czcionką; na wyklejce zauważyłem odręczny napis „Ta książka należy do Catherine Earnshaw” oraz datę sprzed ćwierć wieku.

Zamknawszy księgę, sięgałem po kolejne, aż przejrzałem wszystkie. Biblioteczkę Catherine tworzyły starannie dobrane dzieła, a sądząc po ich stanie, musiała często po nie sięgać, choć niekoniecznie w celu lektury. Prawie żaden rozdział nie uchował się od naniesionego piórem i atramentem komentarza (choćby śladowego), zajmującego każdy wolny od druku skrawek papieru. Czasami były to pojedyncze zdania, ale trafiały się też obszerne fragmenty prowadzonego regularnie pamiętnika, zapisywanego niewprawną dziecinną ręką. U góry niezadrukowanej strony (ani chybi traktowanej jak skarb, kiedy się na takową natknęła) odkryłem, ku swemu rozbawieniu, wyborną karykaturę mego dobrego znajomego, Josepha; rysunek sporządzono grubą, pewną kreską. Wszystko to rozpałiło we mnie zainteresowanie nieznaną Catherine, jałem więc rozszyfrowywać jej wyblakłe hieroglify.

Okropna niedziela — odczytałem pierwszy ustęp pod karykaturą. *Żałuję, że nie ma już z nami ojca. Hindley zaledwie godnym pogardy substytutem — zachowanie wobec Heathcliffa woła o pomstę do nieba; H. i ja się zbuntujemy — dziś wieczorem podjęliśmy już pierwsze kroki.*

Cały dzień lało jak z cebra. Nie mogliśmy iść do kościoła, więc Joseph musiał zebrać swoją trzódkę na poddaszu. Kiedy Hindley z żoną grzali się w ciepłe kominka, robiąc wszystko — dam za to głowę — oprócz czytania Biblii, Heathcliff, ja i nieszczęsny parobek zmuszeni byliśmy iść z naszymi modlitewnikami na górę. Usiedliśmy w rzędzie na worku z kukurydzą, jęcząc i trzęsąc się z zimna. Nasze nadzieje, że Joseph, ze względu na ziąb skróci homilię dla własnego dobra, spełzły na niczym. Msza trwała dokładnie trzy godziny, a mimo to brat mój miał czelność zakrzyknąć, widząc nas schodzących na dół: „Jak to, już po wszystkim?”. Kiedyś w niedzielne wieczory pozwalano nam się bawić, pod warunkiem, że nie będziemy hałasować; teraz za najmniejszy chichot wysłała nas do kąta.

„Zapominacie, kto tu jest panem” — mawia nasz tyran. „Dam nauczkę każdemu, kto wyprowadzi mnie z równowagi! W tym domu mają panować cisza i umiar. Chłopcze, to ty?! Frances, najmiłsza, pociągnij go za kudły, kiedy będziesz przechodzić obok! Słyszałem, jak pstryknął palcami”. Frances wytargała go mocno za włosy, po czym rozsiadła się na kolanach męża. Siedzieli tak godzinami, niczym dwa dzieciaki, całując się i bajdurząc trzy po trzy. Aż wstyd, żeby oddawać się takiej czczej paplaninie. Umościliśmy się na tyle wygodnie, na ile to było możliwe, pod kredensem. Ledwo związałam nasze fartuchy i zawiesiłam je, by służyły nam za zasłonę, gdy Joseph przyszedł po coś ze stajni. Zdarł dzieło moich rąk, trzepnął mnie w ucho i jak nie zaskrzeczy:

„Toż pan dopiero co pochowany, dzień pański trwa, modły jeszcze dobrze nie wybrzmiały, a wy tu dokazujecie! Wstyd i hańba! Siadać mi tu, wstrętne dzieciśka! Dobre książki czekają! Usiądźcie mi tu zaraz i pomyślcie o swoich duszach!”.

Rzekłszy to, kazał nam się wyprostować, aby docierające do naszego kąta z oddali słabe światło oświetliło jakąś cegłę, którą nam wcisnął do czytania. Ani myślałam go posłuchać. Chwyciłam uwalane czymś tomiszcze za róg i rzuciłam je psom, zarzekając się, że nie cierpię takich „dobrych książek”. Heathcliff kopnął swoją w to samo miejsce. Wtedy się zaczęło!

„Panie Hindley!” — wrzasnął nasz kapelan. „Panie, a pozwólcie tu ino! Panienska Cathy oderwała okładkę Rycerza zbawienia, a Heathcliff skopał pierwszą część Szerokiej drogi do zatracenia! Aż strach, na co pan im pozwala. Ech, starszy pan wygarbowałby im za to skórę, ale odszedł!”.

W jednej chwili Hindley opuścił swój rajszy zakątek przy kominku i, chwyciwszy jedno za kołnierz, drugie za ramię, zawlókł nas do kuchni na tyłach domu, gdzie, jak zapewnił nas Joseph, dorwie nas „stary diabeł”. Tak pocieszeni, zaszyliśmy się, każde w swoim kącie, oczekując jego przybycia. Sięgnęłam na półkę po tę księgę i inkaust; otworzywszy drzwi wejściowe na oścież, zapewniłam sobie światło. Mogę pisać przez dwadzieścia minut, lecz mój towarzysz się nudzi i wymyślił, abyśmy wzięli fartuch mleczarski dla ochrony przed deszczem i wybrali się na wrzosiwiska. Pomysł ze wszech miar godny uwagi — a gdyby nawet ten zmierzły staruch po nas przyszedł, uwierzyłby łącznie, że spełniło się jego proroctwo. Zresztą i tak nie przemokniemy tam bardziej i nie zmarzniemy mocniej, niż tu, gdzie jesteśmy.

Przypuszczam, iż Catherine poszła za tą namową, gdyż w następnych zdaniach zmieniła temat i żaliła się pod niebiosa:

W najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że Hindley może mnie doprowadzić do takiego płaczu! — pisze dalej. — Głowa mi pęka, nie mogę już nawet złożyć jej na poduszce. Nic nie pomaga. Biedny Heathcliff! Hindley nazywa go włóczęgą i nie pozwala mu siadać z nami do stołu ani z nami przebywać. Zabrania nam się bawić i grozi, że wyrzuci go z domu, jeśli złamiemy zakaz. Wini naszego ojca (jak on śmie?) za zbyt łagodne traktowanie H. i zarzeka się, że pokaże H. gdzie jego miejsce...

Ślęcząc nad ledwo oświetloną stroną, przenosiłem wzrok z ręcznych zapisków na zadrukowane ustępy, aż poczułem, że ogarnia mnie senność. Uwagą moją przykuł jednak iluminowany czerwienią tytuł: *Siedemdziesiąt razy po siedem oraz pierwszy z siedemdziesięciu grzechów głównych.*

Kazanie wygłoszone przez wielbnego Jabeza Branderhama w kaplicy na trzęsawiskach Gimmerden. Resztkami świadomości zacząłem łamać sobie głowę, co takiego wielbny ma na ten temat do powiedzenia, gdy znużenie wzięło górę i opadłem na łóżko, zasypiając jak kamień. Niestety, nieudany podwieczorek i fatalny nastrój rychło dały o sobie znać — bo nimi właśnie tłumaczę sobie koszmar tej nocy. Odkąd poznałem, co to cierpienie, nigdy nie zaznałem gorszych katuszy.

Zacząłem śnić, kiedy tylko utraciłem świadomość miejsca, w którym się znajduję. Zdało mi się, że to już rano i szykuję się do powrotu do domu z Josephem jako przewodnikiem. Na drodze zalegały metrowe zapasy śniegu. Brnęliśmy przez nie, podczas gdy mój towarzysz niestrudzenie strofował mnie, iż bez pielgrzymiego kostura nigdy nie wejść do domu, chwając się przy tym swoją ciężko okutą maczugą, która, jak miemam, miała mu służyć za laskę. Pomysł, że będę potrzebował takiego oręża, by dostać się do własnego domu, zdał mi się absurdalny, nagle jednak w głowie zaświtała mi myśl, iż wcale nie zmierzamy w jego kierunku. Celem naszej wędrowki było wysłuchanie kazania słynnego Jabeza Branderhama, który miał czytać ustępy z *Siedemdziesięciu razy po siedem*; wiedziałem, że któryś z nas — Joseph, kaznodzieja lub ja — popełnił „pierwszy z siedemdziesięciu grzechów głównych” i miał za to zostać publicznie napiętnowany i ekskomunikowany.

Dotarliśmy wreszcie do kaplicy. Mijałem ją kilkakrotnie na jawie; leży w dolinie pomiędzy dwoma wzniesieniami, nad torfowiskiem, którego wilgotne wyziewy doskonale balsamują złożone w nim zwłoki. Kaplica ciągle jeszcze jest zadaszona, ale że uposażenie duchownego wynosi zaledwie dwadzieścia funtów rocznie, a plebania ma zaledwie dwie (wkrótce pewnie jedną) izby, brakuje chętnych na podjęcie w niej obowiązków pastora. Nic dziwnego, skoro (o czym mówi się teraz otwarcie) trzódka, którą się opiekuje, wołałaby pozwolić mu umrzeć z głodu, niż dołożyć choćby pensa na jego utrzymanie. W mym śnie Jabez zgromadził jednak liczną kongregację, spijającą słowa z jego ust. Boże, cóż to było za kazanie! Czteryście dziewięćdziesiąt napomnień, każde długości pełnej homilii i piętnujące

odrębny grzech! Skąd o nich wiedział, nie mam pojęcia. Interpretował każdy z nich na swój własny sposób, dowodząc niezbicie, że członkowie kongregacji grzeszą na wszelkie sposoby przy każdej możliwej okazji. Były to nad wyraz osobliwe transgresje, o których istnieniu nigdy wcześniej bym nie pomyślał.

Zmęczyło mnie to niemożliwie. Bez ustanku kręciłem się, ziewałem, przysypiałem i budziłem; nie pomagało szczypanie się, klucie, tarcie oczu, wstawanie i siadanie, trącanie Josepha i nagabywanie go, czy pastor kiedykolwiek zakończy swoją przemowę. Skazany na wysłuchanie wszystkiego, od początku do końca, dotrwałem do „pierwszego z siedemdziesięciu grzechów głównych”. Dotarłszy do kresu wyczerpania, wpadłem przeto na nagły pomysł. Coś kazało mi powstać i zdemaskować Jabeza Branderhama jako grzesznika winnego niemożliwego do odpuszczenia czynu.

— Panie! — zawołałem — siedząc w obrębie tych czterech ścian, wytrzymałem i wybaczyłem wam czterysta dziewięćdziesiąt wątków waszego kazania. Siedemdziesiąt po siedemdziesiąt razy podnosiłem kapelusz, gotowy do wyjścia; siedemdziesiąt po siedemdziesiąt razy zmusiliście mnie, bym ponownie zasiadł w ławce. Ale czterysta dziewięćdziesiąty pierwszy raz to już za wiele. Bracia męczennicy, na niego! Ściągnijcie go i zmiażdżcie go w pył, aby nikt i nic go nie poznało!

— A więc tyś to! — zakrzyknął Jabez po głuchej ciszy, jaka nastąpiła po mych słowach. Opierając się o poduszkę, perorował głośno dalej: — Siedemdziesiąt po siedemdziesiąt razy rozdziawiałeś w zdumieniu usta, wykrzywiając się niemiłosiernie! Siedemdziesiąt po siedemdziesiąt razy sięgałem w głąb duszy — Boże, toż to jeno ludzka słabość, a tę możesz przecież wybaczyć! Pierwszy z siedemdziesięciu grzechów głównych przybrał oto ludzką postać! Bracia, ukarście go zgodnie z tym, co napisano. Zaszczyt ten przypada w udziale wszystkim świętym pańskim!

Ledwo wybrzmiały ostatnie słowa, cała kongregacja ruszyła na mnie jak jeden mąż, wznosząc pielgrzymie kostury. Pozbawiony jakichkolwiek środków obrony, jałem szarpać się z Josephem, najbliższym i najbardziej

zażartym napastnikiem, próbując wyrwać mu maczugę. W gęstej ciżbie lagi krzyżowały się ze sobą, tak że ciosy, wymierzone we mnie, lądowały na przypadkowych łbach. Po chwili kaplicę wypełnił łomot uderzeń i rąków — wszyscy skoczyli sobie do gardeł. Branderham, nie chcąc pozostać bezczynny, demonstrował swą gorliwość, waląc bez opamiętania w deskę pulpitu, odzywające się tak głośno, że wreszcie, ku mej niewymownej uldze, hałas wybudził mnie ze snu. Cóż takiego wywołało ten niemożliwy raban i odegrało rolę Jabeza? Ot, zwykła gałąź jodły smagana ostrym podmuchem wiatru tłukła się suchymi szyszkami o szyby. Przez moment nasłuchiwałem w niedowierzaniu, odkrywszy jednak przyczynę zamieszania, odwróciłem się i zapadłem ponownie w sen. Znow śniłem, lecz moje senne wizje były jeszcze koszmarniejsze niż poprzednio.

Tym razem wiedziałem, że jestem w swoim łóżku w dębowej skrzyni: wyraźnie słyszałem silne podmuchy i wałacy w okno śnieg. Słyszałem też stukającą w nie raz po raz jodłową gałąź i rozumiałem, co jest źródłem owego hałasu. Drażnił mnie on tak bardzo, że postanowiłem go uciszyć. Pamiętam, że wstałem i próbowałem rozewrzeć skrzydła okien. Trzymający je haczyk był na stałe przylutowany do skobla, co zauważyłem jeszcze na jawie, lecz zapomniałem o tym we śnie. „Tak czy inaczej, muszę z tym skończyć!” — wymamrotałem i przebiłem szybę pięścią. Wyciągnąłem ramię, by złapać niesforny konar, ale zamiast niego moje palce objęły drobną lodowatą dłoń!

Ogarnęło mnie przerażenie, jak w najgorszym koszmarze. Próbowałem uwolnić rękę, lecz trzymała ją kurczowo czyjaś dłoń, a płacziwy, żalony głos zakwilił: „Wpuść mnie! Daj mi wejść!”

— Kim jesteś? — spytałem, próbując jednocześnie uwolnić rękę.

— Catherine Linton — odparł drżący głos (czemuż wyobraźnia podsunęła mi to akurat nazwisko, skoro oczy wielokrotnie widziały wcześniej Earnshaw?). — Wróciłam do domu, zgubiwszy dawno temu drogę na bagnach!

Słuchając głosu, dojrzałem niewyraźny zarys dziecięcej twarzyczki, zaglądającej przez okno. Przerażenie obudziło we mnie okrucieństwo. Przekonawszy się o bezcelowości prób uwolnienia ręki, przyciągnąłem

nadgarstek zjawy nad potłuczoną szybą i jałem suwać nim w lewo i prawo, aż połała się z niego krew, wsiąkając w pościel. W mych uszach ciągle jednak rozbrzmiewało płaczliwe wołanie „Wpuść mnie!”, a ręka tkwiła w mocnym uchwycie. Strach odbierał mi zmysły.

— Ale jak mam to zrobić? — spytałem po dłuższej chwili. — Uwolnij moją rękę, jeśli mam cię wpuścić!

Uchwyt palców zelżał, a ja błyskawicznie cofnąłem dłoń, wciągając ją do środka przez wybity otwór. Pospiesznie zabarykadowałem go stosem książek i zatkałem uszy, by nie słyszeć żalosego błagania.

Zdaje się, że trwałem tak ponad kwadrans, lecz kiedy znów zacząłem nasłuchiwać, rozległ się znajomy, żaloseny lament.

— Odejdź! — zawołałem. — Nie wpuszczę cię, choćbyś błagała i dwadzieścia lat!

— Minęło ich już dwadzieścia — odparł płaczliwie głos. — Od tylu właśnie lat błąkam się po świecie!

W tej samej chwili na zewnątrz rozległo się ciche skrobanie, a stosik książek poruszył się, jakby ktoś go popchnął.

Chciałem wyskoczyć z łóżka, nie mogłem jednak ruszyć ani ręką, ani nogą. Ogarnięty przerażeniem, wrzasnąłem na całe gardło.

Wkrótce przekonałem się, że mój krzyk nie przyniósł nic dobrego. U drzwi mej komnaty rozległy się pospieszne kroki i czyjaś silna ręka otworzyła je jednym pchnięciem; przez kwadratowe otwory w górnej części obudowy łóżka zamigotało światło. Usiadłem, i wciąż trzęsąc się ze strachu, otarłem pot z czoła. Nieproszony gość zdawał się wahać, mrużąc coś do siebie pod nosem.

W końcu odezwał się półgłosem, nie oczekując najwyraźniej odpowiedzi:

— Jest tu kto?

Uznałem, że najlepiej będzie zdradzić swą obecność, poznałem bowiem Heathcliffa po głosie i obawiałem się, że nie ustanie w poszukiwaniach, nawet jeśli będę siedział cicho.

Rozsunąłem drzwiczki alkowy. Nieprędko zapomnę to, co potem nastąpiło.

Heathcliff stał przy drzwiach w samej koszuli i spodniach, dzierżąc świecę, kapiącą mu woskiem na dłoń. Jego twarz była biała jak ściana, przy której stał. Przy pierwszym skrzygnięciu dębowych płycin podskoczył, jak rażony prądem: świeca wypadła mu z ręki i poleciała w drugi koniec pokoju. Był tak poruszony, że z trudnością ujął ją z powrotem w dłoń.

— To tylko ja, wasz gość, sir — zawołałem, chcąc oszczędzić mu dalszego upokorzenia, na jakie narażało go okazane tchórzostwo. — Pech chciał, że krzychałem przez sen, przerażony senną marą. Przepraszam, że zakłóciłem wasz spokój.

— Na litość boską, panie Lockwood! Szkoda, że was... — zaczął gospodarz, stawiając świecę na krześle, nie potrafił bowiem utrzymać jej w drżącej dłoni.

— A kto was tu zaprowadził? — podjął po chwili, ściskając mocno dłoń i zęby, by powstrzymać dygotanie. — Kto taki? Najchętniej wyrzuciłbym go w tej chwili z domu!

— Wasza służąca, Zillah — odparłem, zeskakując na podłogę i popieszczenie się ubierając. — Nie miałbym nic przeciwko temu, by ją pan zwolnił, zasłużyła bowiem aż nadto na taki los. Chciała zapewne przekonać się moim kosztem, że komnata jest nawiedzona. Bo jest — roi się tu od duchów i strasydeł! Dobrześ pan uczynił, zamykając ją na cztery spusty. Nie liczyłbym na wdzięczność za nocleg w tym legowisku upiorów!

— Co też pan wygaduje? — spytał Heathcliff — I co pan wyprawia? Niech się pan kładzie i zostanie tu do rana, skoro już tu pan jest. Ale, na miłość boską, powstrzymaj się pan przed tymi nieludzkimi wrzaskami! Nie ma dla nich usprawiedliwienia, chyba, że ktoś tu panu poderżnie gardło!

— Gdyby ta mała diablica weszła przez okno, pewnie by mnie zadusiła! — odparłem. — Nie mam zamiaru dłużej znosić katuszy, serwowanych przez pańskich gościnnych przodków. Bo czyż wielbny Jabez Branderham nie jest waszym krewnym od strony matki? A ta mała kokietka, Catherine Linton czy też Earnshaw, jak ją tam zwali — to ani

chybi upiorzyca, niech będzie przekłeta! Sama mi powiedziała, że od dwudziestu lat wędruje po świecie; ani chybi spotkała ją kara godna przewinień za życia!

Ledwo wypowiedziałem te słowa, przypomniałem sobie o związku, łączącym Heathcliffa z Catherine. Czytałem o nim w książce, a jednak aż do tej chwili zupełnie o nim nie pamiętałem. Zawstydzilem się, i nie chcąc okazywać świadomie mego grubiaństwa, pośpiesznie dodałem:

— Prawdę mówiąc, przed zaśnięciem oddałem się... — Znów ugryzłem się w język, gdyż miałem zamiar rzec „lekturze tych starych książek”, co zdradziłoby mą znajomość nie tylko ich drukowanej, lecz także zapisanej ręcznie treści. Poprawilem się więc, kontynuując: — Wpatrując się w napis, wyskrobany na parapecie. Odcyfrowując wielokrotnie poszczególne litery imienia, liczyłem, że monotonia tego zajęcia uspi mnie, jak liczenie...

— A cóż to ma znaczyć?! — zagrmiał Heathcliff z wściekłością. — Jak pan śmiesz tak się do mnie odzywać? Pod moim dachem? Chyba rozum panu odebrało!

Nie mogąc opanować wściekłości, uderzył się mocno w czoło.

Nie wiedziałem, czy protestować przeciwko temu, jak się do mnie odnosił, czy dalej próbować wyjaśnić sytuację. Był jednak tak wstrząśnięty, że ulitowałem się nad nim i opowiedziałem mu o swoich snach, zapewniając, że nigdy wcześniej nie słyszałem o Catherine Linton i że jedynie wielokrotne przeczytanie jej imienia przed snem zmaterializowało jej postać w mej wyobraźni, kiedy tylko utraciłem nad nią kontrolę. Kiedy to mówiłem, Heathcliff wycofał się pomału do bezpiecznego schronienia, oferowanego przez obudowane ze wszystkich stron łożo. Usiadł wreszcie w środku, niemal całkowicie ukryty przed moim wzrokiem. Po jego nieregularnym, przerywanym oddechu mogłem jednak odgadnąć, że walczył z zalewającymi go gwałtownymi emocjami. By nie okazać, że słyszę, jak się męczy, ubierając się, robiłem jak najwięcej hałasu, spoglądałem raz po raz na zegarek i komentowałem długość nocy.

— Toż nie ma jeszcze trzeciej! Przysięgłbym, że to już szósta. Czas płynie tu powoli, wszak ani chybi udaliśmy się na spoczynek o ósmej!

— Zimą zawsze o dziewiątej, wstajemy zaś o czwartej — odezwał się, tłumiąc jęk i jak wywnioskowałem na podstawie ruchu ramienia (czy raczej jego cienia), ocierając łzę. — Panie Lockwood — dodał — może pan przejść do mojej izby; schodząc tak wcześnie na dół, tylko by pan zawadzał, a przez pańskie dziecinne wrzaski mój sen i tak diabli wzięli.

— Mój również — zauważyłem. — Do świtu pospaceruję po dziedzińcu, po czym ruszę w drogę. Nie musi się pan też obawiać ponownego najścia z mojej strony. Skutecznie wyleczyłem się z szukania podniet, jakie oferuje życie towarzyskie czy to w mieście, czy na wsi. Człowiekowi rozumnemu do towarzystwa powinna wystarczyć własna osoba.

— Też mi kompania! — prychnął Heathcliff. — Niech pan bierze świecę i idzie, gdzie chce. Zaraz zresztą do pana dołączę. A od dziedzińca niech się pan trzyma z daleka, bo psy są spuszczone z łańcucha. W środku domu pilnuje Juno, więc... Cóż, może pan sobie pospacerować po schodach i korytarzach. No, idź pan już. Zejdę do pana za kilka minut.

Posłuchałem go o tyle, że rzeczywiście wyszedłem z izby. Nie wiedząc, dokąd prowadzą wąskie korytarze, stałem bez ruchu pod drzwiami, gdy niechcący stałem się świadkiem sceny, która kazała mi zwątpić w (po-zornie) zdrowe zmysły mego gospodarza. Wszedł na łóżko i mocując się z oknem, które w końcu udało mu się otworzyć, wybuchł niepohamowanym płaczem.

— Wejdz! — załkał głośno. — Wejdz, Cathy! Jeszcze ten jeden raz, proszę! Najdroższa, wysłuchaj mnie choć tym razem. Catherine, wysłuchaj mnie w końcu! — Zjawia z typową dla duchów przewrotnością ani myślała ponownie się ukazywać. Do środka wdarła się tylko niesiona wiatrem śnieżna kurzawa, która, przetoczywszy się wściekle przez izbę, dotarła za drzwi i zdmuchnęła świecę w mojej dłoni.

W szalonym wybuchu żalu mego gospodarza kryło się tyle udręki, że współczucie wzięło górę i zignorowałem jego niedorzeczność. Zły na

siebie, że stałem się świadkiem tej sceny, wycofałem się w głąb korytarza. Dręczyło mnie poczucie winy, bo przecież to mój absurdalny koszmar wywołał u niego tak ogromne cierpienie, dlaczego jednak tak się stało, nie byłem w stanie zrozumieć. Ostrożnie zszedłem na dół i znalazłem się w kuchni na tyłach domu, gdzie odpaliłem świecę od zgrabionego w stosik, ciągle tłącego się w palenisku żaru. Z popiołu wygramolił się przegowany kot, który powitał mnie płaczliwym miauknięciem, ale poza tym panował tu całkowity spokój.

Wyciągnąłem się na jednej z dwóch półkolistych ław ustawionych przed paleniskiem, drugą zaś objął w posiadanie Grimalkin. Przysypialiśmy obaj zgodnie, korzystając z ciszy, gdy zakłóciło ją najście Josepha: opuściwszy hałaśliwie drewnianą drabinę z kłapy w suficie, zszedł z poddasza do kuchni. Obrzucił wrogim spojrzeniem ogienek, który odważyłem się rozpałić, rzucił kocura z ławy, zajął jego miejsce i zajął się nabijaniem swej trzycalowej fajki tytoniem. Moja obecność w jego sanktuarium stanowiła kamień obrazy tak ciężkiej, że postanowił jej nawet nie komentować; zamiast tego zagryzł ustnik fajki i, skrzyżowawszy ramiona na piersi, oddał się całkowicie pykaniu. Pozwoliłem mu w spokoju cieszyć się tym luksusem. W końcu, puściwszy ostatnie kółko dymu, westchnął głęboko, wstał i wyszedł równie uroczyście i poważnie, jak przyszedł.

Następnie w kuchni zawitał ktoś o bardziej sprężystym kroku. Otwierałem już usta, by powiedzieć „dzień dobry”, lecz natychmiast je zamknąłem, oszczędzając sobie trudu. Hareton Earnshaw odmawiał półgłosem swą litanię przekleństw, kierując je w stronę każdego przedmiotu, jaki nawinął mu się pod rękę podczas poszukiwań w kącie szpadla czy szufli, by odkopać śnieżne zasy. Obrzucił szybkim spojrzeniem ławę, rozdymając przy tym nozdrza; najwyraźniej miał równą ochotę na grzeczne powitanie ze mną, co z towarzyszącym mi kotem. Z jego działań wynioskowałem, że można już wyjść z domu; wstałem więc z twardego posłania i ruszyłem w ślad za nim. Hareton zauważył mój ruch i pchnął wewnętrzne drzwi końcówką szpadla, dając mi do zrozumienia nieartykułowanym mruknięciem, że tam właśnie powinienem się udać, jeśli myślę o zmianie miejsca.

Drzwi prowadziły w głąb domu, gdzie panie były już na nogach: Zillah, posługując się ogromnym miechem, rozdmuchiwała płomyki ognia, ulatujące w górę komina, pani Heathcliff zaś, przyklękawszy przy pale-nisku, czytała książkę, osłaniając dłonią oczy od żaru. Pochłonięta lekturą, odrywała się od niej tylko na chwilę, by zbesztać służącą za obsypanie jej iskrami lub odepchnąć psa, wpychającego zbyt nachalnie nos w jej twarz. Z zaskoczeniem zauważyłem przy kominku Heathcliffa. Stał tyłem do mnie, kończąc burzliwą rozprawę z biedną Zillah, która raz po raz przery-wała rozpalanie ognia, by szarpnąć za róg fartucha i wydać z siebie pełen oburzenia jęk.

— Co zaś się tyczy ciebie, ty... — rzekł gwałtownie do synowej, kiedy wszedłem. Tu użył słowa równie nieszkodliwego, co określenie samicy psa, jednakowoż zastępowanego w druku gwiazdkami. — Znowu nic, tylko le-nistwo i nieróbstwo! Reszta przynajmniej zarabia na chleb, ale ty, darmo-zjadzie, żyjesz na mój koszt! Odłóż ten chłam i weź się do jakiejś roboty. Zapłacisz ty mi za to, że ciągle muszę cię oglądać... Słyszysz, wszetecznicę przekłętą?

— Dobrze, odłożę mój chłam, byś nie zmusił mnie do tego siłą — od-parła młoda dama, zamykając książkę i rzucając ją na krzesło. — Nie będę jednak robić niczego ponad to, na co mam ochotę, choćbyś się zapluł ze złości!

Heathcliff wzniosł rękę do ciosu. Dziewczyna odskoczyła na bezpiecz-ną odległość, najwyraźniej dobrze zaznajomiona z jej wagą. Nie mając ochoty na udział w ich potyczce, przypominającej pojedynek psa z ko-tem, wkroczyłem żwawo do kuchni, udając, że przyciąga mnie żar bijący od kominka, i przybierając minę niewiniątka całkowicie nieświadomego przerwanej przed chwilą dysputy. Oboje zachowali jeszcze na tyle do-brych manier, że powstrzymali się od dalszych wrogich kroków: Heathcliff ukrył dłonie w kieszeniach, by nie ulec pokusie, pani Heathcliff zaś odęła się i odeszła do stojącego w bezpiecznej odległości siedziska, gdzie — do-trzymując danej wcześniej obietnicy — odegrała rolę posągu do końca mej wizyty. Nie trwała ona już długo: odmówiwszy zaproszenia na śniadanie,